

• CMNIBUS

PRZEZ

I.

POZNAŃ.

W zleceń i kinst. Żup...

NAKŁAD AUTORA.

1869.

12-1

pub
Włostka 51
1890

Włostka 51

1326 1 20

Omnibus. — *Silva rerum* Staropolska. — Goście z Ameryki, po dwóchset latach z powrotem. — Teatr w Warszawie. — Miasto umarłe. — Odczyty w Dreznie. — Ułamek z listu Z. Krasieńskiego. — Pascal wynalazcą omnibusów. — O słońcu i zaćmieniu. — Z pamiętników Kamertona: Kazanie pogrzebowe. — Choroba sercowa. — Końskie mięso i jego dzieje. — Rehabiliacja pokrzywy. — Ludność robotcza w Anglii. — Oświata ludowa. *Mu' ad a ut nothing* — jak dotąd). — Teofil Lenartowicz, zbieraczem. — Wiersz jego. — Statystyka ił i płomion Europy. — Nieco o prababce małpie. — Imię ojczyzny. — JMPan Dynamit syn JW. Nitrogliceryny. — Powieści nowe. — Noworocznik Chochlika. — *Boeuf à la mode* na zimno. — Nowości, uwagi, życzenia.







Książeczka bez wiele obiecującego tytułu, bez programu, bez planu — wygodna dla tego który ją pisze, może jakim cudem, podobać się téż i tym co ją czytać zechcą. Nienawykliśmy do systematycznój pracy, czytania, badania, do twardego trudu, lubiemy się bawić, lekko nabywać i tracić tak samo... Może do temperamentu naszego właśnie przypadnie taka zbieranina myśli, wiadomości, krytyk, wypisów, nowin a nawet plotek; może się podoba to właśnie że obok uczonój skazówki, stać będzie coś prostodusznego, obok wiadomości poważnój plotka roztrzepana, przy kazaniu moralném, koncept pochwycony gdzieś w powietrzu.

Jeśli ta pierwsza próba przekona o trafności, a raczój o szczęśliwym przypadku, żeśmy smak ludzi co nic nie czytają, odgadli — za pierwszą książ-

żeczką pójdą następne, jak Bóg da — prędkiej, później, gdy się torebka świstkami wypełni, a czas wielki dostarczyciel... przyniesie z sobą coś nowego i zajmującego, lub starego a zapomnianego.

Brak programu zdaje się nam najdoskonalszym programmatem, bo wam obiecuje niespodzianki — a w życiu tém śmiertelnie nudném, zabójczo mdłym i dławiącém... możesz być co miłego nad — rzecz niespodziewaną??



Mamy jeszcze jeden powód do wyrzeczenia się wszelkiego programu i ładu w naszej książeczce.

Chcąc być czytany, trzeba (przyznacie mi) pisać w smak najłaskawszej publice. — Przypuszczamy że, mimo wynarodowienia charakter narodowy się u nas utrzymuje. Otóż, zdaniem wszystkich i badaczów charakteru i historyków, w Polsce nigdy nie lubiono zbytniego ładu, systemu i porządku. Bizardiére w jednej ze swych broszur o Polsce (XVII w.) powiada, że zachowywał się zwyczaj spisywania najnieporządnieszego wszelkich wypadków w każdym niemal domu szlacheckim, i *Silvae rerum* były wyrazem najdobitniejszym ducha polskiego w onych czasach. — My także zamierzamy wam

dać nie co innego nad staropolską *Silva rerum*, las rzeczy różnych, splecionych razem jak gałęzie gęstwiny leśnej. Jeśli potrzebą ducha polskiego jest bujać w takich gęstych zaroślach faktów i myśli, czemuż jój nie dogodzić? czemu smakowi i naturze naszej nie uczynić zadość?

Będziecie więc mieli on staropolski groch z kapustą, mieszaninę różnorodną, w której każdy sobie znajdzie co mu do smaku przypadnie.

Zbytnie tylko zużycie nazwiska *Silva rerum*, które już nadto włączono po wszystkich kątach, wstrzymało nas od powtórzenia go na tytule.

Zacznijmy od zapisania w tej kroniczce wypadku który najostygłejsze nawet umysły, najzaspańsze poruszył gazety i wywołał... w Krakowie szczególnie zachwyt niemal... zabawny.

W owych czasach gdy Polska bawiła się kwestyami religijnymi razem z Europą, tak jak dziś bawi się z niebezpieczną cacką socjalizmu (która gotowa wystrzelić), w owych tedy czasach gdy aryanom i antitrynitaryuszom kazano się wybierać precz jak dziś... (trafia się to i dzisiaj) — różnym czerwonym; — rodziny Łaskich, Lubienieckich, Arci-

szewskich i t. p. ruszyły szukać trochę spokoju i swobody pod innym niebem. W liczbie tych wygnańców, był, jak się zdaje, członek jakiś możnej rodziny Zborowskich, onych to Zborowskich którzy nigdy spokojnie usiedzieć nie mogli... Owi Zborowscy zaponnieni przez swoich, wyszli naprzód do Hollandyi, a z Hollendrami popłynęli do Ameryki. I dwieście lat od tego czasu upłynęły jak pół godziny. Panowie Zborowscy, dla łatwiejszego wymawiania przezwali się Zabriskie,... i robili dollary w N. Jersey. Dollary w Ameryce są jak króliki w Europie, z pary dollarów, w przeciągu dwóchset lat może się urodzić kilka milionów, jeśli się ich nie wytępia na pieczyście. Stało się iż pp. Zborowscy dorobili się kolosalnej fortuny, a potem znalazłszy zóółkłe po przodkach papierki, pieczętki i inne zabytki, zażądali zwiedzić Europę i pierwotną swoją ojczyznę, w której niegdyś panegirysi czcili ich od hrabiów i duków.

Jednego pięknego poranku zjawił się poważny amerykańczyk z piękną i miłą amerykanką... na mogilnej polskiej ziemi. List kredytowy na milion dollarów szedł z nimi, pani miała krociowe brylanty... O! z jakąż czułością! z jakim rozrzuwieniem, współczuciem, zapalem, gorączką powitano ich na ziemi ojczystej! Wszystkie drzwi otwo-

rem, wszystkie serca... na ich cześć Lucyan Siemieński pisze ognisty feljeton, na cześć ich gra teatr krakowski Szujskiego „Zborowskich“, (których szczęściem nie zrozumieli goście). Gdyby zacny p. Marcin Zborowski dowąchał się sensu moralnego dramatu, niewiem czyby mu był smakował.

Ale mniejsza o to, rodzi się pytanie czy kiedykolwiek ubogiego, nagiego, głodnego przybysza, choćby z najpiękniejszém w świecie nazwiskiem. przyjmowano tak w Galicyi? Czy gdyby nie dollary Siemieński by pisał feljeton, a teatr grał dramat, czyby się im otworzyły salony pod..... i innemi godłami? czy nie odesłano by intruza do policyi, pod telegraf... i ciupasem za granicę...

Mieliśmy tyle dowodów podobnego postępowania w dzisiejszych czasach, iż na chwilę nie wątpimy, że pp. Zborowscy dostali by się do Bawaryi prędzej niżby chcieli, a *Czas* wytłumaczył by to postępowanie, knowaniami rewolucyjnemi, na które wychodźcy narażają tę nieszczęśliwą Galicję!

W Warszawie, we Lwowie, w Krakowie, wszędzie gdzie ten meteor jasny się zjawił, tłumy go witały. Wszyscy dzisiejsi posiadacze dóbr po Zborowskich ofiarowywali się im je sprzedawać za jak najumiarkowańsze dollary, znaleźli krewnych, kol-

ligatów, na przypadek bezdzietności suksesorów... poetów nadwornych... wielbicieli!

Gdyby teraz drugi na figla jaki Łaski z Ameryki (są tam i Łascy) przyszedł z tłumoczkiem na plecach... w kłopotcie byłiby ci poczciwi galicyanie... jak sobie z nim postąpić. Choć i ci Łascy z Łaska wojewodami bywali... No... ale... bez dolarów... zawsze człowiek wygląda podejrzanym, i ma skłonność do zaczerwienienia się... mimowoli... A wiemy jak ta barwa niebezpieczne ukrywa myśli i uczucia.

Gdybym był Zborowskim... naprawdę byłbym wprzody sprobował grać rolę ubogiego... o! co za przedziwna farsa!! Tylko i to prawda że z telegrafem i kozą, nawet konstytucyjną, niema co żartować.



Teatr warszawski pod nowym zarządem doprawdy zdaje się jakieś odrodzenie zapowiadać. Czyby nowy rząd reformatorski obrachował iż musi być instytucją niewinną kiedy od r. 1861 nikt nań dla żałoby narodowej nie chodził? — Dosyć że dozwolono na nim występować p. Modrzejewskiej, że grają Schillera Zbójców (coby na to nieboszczyk Mucha-

now .I. powiedział?) że artystom bardzo przyzwolicie zwiększono pensye, że repertuar się zbogaca, że młode talenta występują i że pod gniotem moskiewskim scena polska jest i szczęśliwszą i świeżniejszą niż pod swobodą austriacką!!

Ten sam fenomen powtarza się i w dziennikarstwie... cenzura strzyże... a poobcinane eunuchy żwawo jakoś się uwijają.

Fakt ten nie potrzebuje komentarza... Czyby Kraków i Lwów, przez samo współzawodnictwo nie zdobył się na coś znakomitego?..

Niestety! Teatr nie tyle stanowi dyrekcyą i artyści — co publika. Po części toż samo jest z literaturą. Téj wykształconej publiczności niema ani Kraków, ani Lwów podobno. Ona wyrabia artystów, ona kieruje nimi. Rapacki i Modrzejowska dźwignęli się więcćj krytyką i współczuciem poznaczyków, niż zimną ciekawością łóż własnego gniazda...



Któż z naszych podróżnych nie był, choć raz w życiu, w Rzymie i kto nie zwiedzał jego okolic? Tivoli, Albano, Castel Gandolfo, ulubionego artystom Olevano, a nawet dzikich ustroni Mentorelli?

Ale z tych co się puszczali na wycieczki, nikt nie był tak szczęśliwym ażeby natrafić na oddalone ledwie jeden dzień drogi od wiecznej stolicy miasto od pięciu wieków umarłe...

Jeden z nowych podróżników niemieckich, Allmers, jakimś szczęśliwym wypadkiem trafił na ten emmentarz grodu, który dziś, po pięciu wiekach spoczynku... ma cudownie wyglądać jako ruina cała zielonemi wieńcami bluszczów i najbujniejszą roślinnością okryta.

Mieścina ta w górach niedaleko od kolei żelaznej, zowie się poetycznie Ninf... Złupiona niegdyś przez Saracenów, w części została opuszczoną przez mieszkańców, potem dla niezdrowego powietrza (malaria) reszta ich w XIII. wieku wywędrowała do Normy. Od tego czasu grodek został pustym i poszedł w gruzy powoli, a krzewy i chwasty, którym nie przeszkadzało wzrastać, pochwyciły go w zielone uściski swoje. Widok miasta, które jest otoczone wzgórzami do koła i na sposób zwykły osad włoskich, na pagórku zbudowane, ma być zachwycający... Mury opasujące z ogromnemi wieżycami i bramami, sam zamek z wysoką wieżą główną, mosty, kościoły sterczą wśród kosza zieloności objęte gałęzmi i wieńcami...

Środkiem płynie strumień okryty pleśnią, gniły,

zaspany, przez który prowadzi most kamienny na pół osypany... Tu i owdzie wynoszą się w górę ściany kościołów z przyczepionemi w niszach posągami świętych... Na apsidach widać jeszcze resztki fresków, szczególnie ciekawych stylem w bazylice za murami miasta. Domki są małe, ciasne, bez dachów, a w środku ich mieszkają krzaki i bluszcze... Dzikie gołębie unoszą się po nad arkadami ozienionemi, z których bluszcz, clematysy i krzewy spadają w dół zwieszonemi gałęzmi.

Na p. Allmers największe zrobił wrażenie posążek N. Panny w niszy tak okrytej bluszczem, że na nim on sam jeden, nie tknięty gałązką żadną, prześlicznie się miał wydawać na tle ciemnej zieleni. — Gdźieniegdzie kwitnie czerwona walerjana i dzikie gwoździki na gźémsach okien jakby umyślnie posadzane. Cisza okala gruzy wśród których rzadko się nawet pastuszek z trzodą ukaże.

Ninfa, o której wspomina Varro, istniała już za czasów rzymskich, ale ruiny, mury mają charakter średniowieczny, kościoły są w stylu XII. i XIII. wieku. Freski na ścianach bazyliki za miastem, przedstawiające sceny z żywota Ś. Jana Chrzciciela, nie są stylu byzatyńskiego, przypominają raczej maurytańsko-sycylijski. P. Allmers utrzymuje że one są utworem artystów nie uległych wpływowi

epoki, rozwijających się z tradycji starożytnych w duchu samoistnym.

Widok tego grodu umarłego, ma czynić wielkie i dziwnie tęskne wrażenie. Nie znaleźliśmy dotąd żadnej o nim wzmianki w innych włoskich wędrownikach, chociaż nam na nich nie zbywa.



Donoszą nam z Drezna, że Dobroczynność miejscowa, starając się o przysporzenie funduszu dla ubogich Polaków, urządziła tam w czasie adwentu, odczyty polskie, na które się kilka osób składało. Rozpoczęły się one dwóma p. Franciszka Dobrowolskiego o stanowisku prawném kobiety w dawnych i nowszych czasach. Po nim mówił przez pięć wieczorów p. Karol Hoffmann o podziale Polski Krzywoustego; dowodząc że w myśli jego nie był to podział, ale urządzenie na wzór innych feudalnych państw Europy. Bardzo ciekawe szczegóły podał o Salomei hrabiance Berghem, żonie Bolesława. — Następnie czytał bar. Wawrzyniec Engeström (wnuk niegdy szwedzkiego posła w Polsce) o szwedzkiej poezji i Ezajaszu Tegnerze; naostatek p. Kraszewski o poezji polskiej XIX. wieku i Zygmuncie Krasińskim. Odczyt poświęcony jenjalneru poccie,

którego prelegent starał się odmalować przez własne jego listy poufne do przyjaciela pisane (Adama hr. Soltana) nie zadowolnił słuchaczy. Chociaż czytający mówił słowa Zygmunta, zarzucono mu podobno zbyt czarne zapatrywanie się na arystokracją polską i jej upadek moralny; — tendencyjny wykład Nieboskiej komedyi.

Jednakże p. Kraszewski nie zużył nawet w tym względzie materiału jaki mu dostarczyły listy Zygmunta, a na dowód przytoczyć możemy, udzielony nam z nich następujący urywek, wiele zaprawdę mówiący: Oto są słowa Krasińskiego:

„To miasto (Warszawa) zewnętrzném licem nie wydaje zarodku śmierci toczącego mu serce, owszem pełno żywotnych runieńców nosi, jako to sklepów, fabryk, widowisk i t. p. Koniec końców to znak siły, która w każdej chwili od błahych do ważnych celów odwrócić się może....

„Ale opłakanem jest co doszło do najuniżeńszego poniżenia — to historyczne imiona, młodzież która niemi obdarzona zupełnie pozbawiona potrzebnej siły do ich dźwigania. — Nawet wyobrażenia nie mają co godność jaka bądź, a dopiero co szlachetność, najlepszych i najcelniejszych. Szynk z jednej strony a kamerjunktrowstwo z drugiej i ślepa

bezwiedza z trzeciej — ignorancja nieskończona...
oto ich piętna.

„Wszyscy ożyją — dodaje smutnie Krasiński —
da Pan Bóg w niebie, ale oni — i to mi łyzy wy-
dziera — *oni, nie.*“

Słowa te w r. 1844. pisał Zygmunt Krasiński,
syn ks. Radziwiłłówniej, spokrewniony z pierwszemi
rodzinami w kraju i sam do nich należący... Ja-
kiż to widok łyzy te i słowa mu wydarł z oczów
i piersi??



Mnóstwo rzeczy które się nam wydają nowemi
wynałazkami, w istocie już parę razy wprzód przez
ludzi były wymyślone i zarzucone. W zbiorach
pompejańskich w Neapolu, przypatrujemy się grec-
ko-rzyniskim samowarom bardzo pięknych kształ-
tów, niesternej budowy, zupełnie co do pomysłu po-
dobnym do tych, które z Chin przez Rosyją do
nas przysły. Są uczeni co dowodzą że złociste
prety, któremi cały dach w kościele jerozolimskim
był najeżony, nie czém inném były tylko kondukto-
rami od piorunów i t. p.

Skroniny ten wynalazek, który się *Omnibusem*
nazywa, nie słusznie uchodzi za nowość. Pierw-

szym, który wspólną taką jazdę w Paryżu urządził, był sławny *Pascal*, autor myśli i listów z prowincyi. — Było to w r. 1662. Pomysł Pascala przeprowadził do skutku książę Roannes jego przyjaciel; i dwaj dworacy wersalscy, margrabiowie de Creneau i de Sourches. Dostali oni od króla przywilej, gdyż wszystko naówczas musiało być uprzywilejowaniem i monopolem, d. 2. Lutego t. r. do przewożenia po Paryżu podróżnych tak jak dyliżanse woziły ich po kraju. Pierwsze omnibussy krążyły od Porte St. Antoine do Luxemburskiego pałacu; a było ich początkowo siedem. — Woźnice mieli fraki niebieskie z herbauni króla i miasta; płacono się za przejażdżkę pięć sous, które podróżny powinien był mieć gotowe, aby nie nudzić się rachunkiem monety zdawkowej. Pani Perier, siostra Pascala, w listach swych pisze, iż za ukazaniem się tych powozów, od razu zostały przepelnione; jeździły niemi nawet panie. — Stworzono wkrótce drugą linią między ulicą St. Honoré a kościołem Ś. Rocha.

Ale w rok potem omnibussy znikły, — ówczesna społeczność tego zrównania stanów w obec pięciu susów' znieść nie mogła... Cisnęły się różne figury. żołnierze, rzemieślnicy, lokaje, czeladź... Skutkiem tego królewskie rozporządzenie zabroniło użycia

omnibusów wszystkim in, oprócz szlachty i mieszczan Paryża... Zaczęto prześmiewać i rozkaz i wypadki wynikające ze ścisłu w powozach... Paryżanie wydrwili omnibusy; — nikt do nich nie siadał i Pascal'a myśl zarzuconą została, aż do naszych czasów — w których ją znowu podjęto...

Ale Rotschild miał słuszość mówić, że nie jest dość bogatym by mógł jeździć omnibusami, bo w Paryżu strata czasu na nie jest ogromna. Trzeba mieć wiele godzin do stracenia, a bardzo mało pieniędzy, by się nimi posługiwać.



Zaćmienie słońca przeszłoroczne, o którego znaczeniu pisał nasz Dr. Libelt, obudzało w Europie nadzwyczajne, powszechne zajęcie; spodziewano się nareście podchwycić tajemnicę słoneczną, gdyż — (sinutro to wyznać dla nauki naszej), nawet słońce, jego natura, skład... światło są dotąd zagadkami rozmaicie rozwiązywanemi. Jedni je mają za ciało twarde okryte świecącą atmosferą, inni za olbrzymią kulę płonących gazów... Są nawet tak trwożący prorocy, którzy przepowiadają że słońce wypaliwszy się powoli, jednego niepięknego poranku zaginie zupełnie — i, lepiej się już następstw

nie domyślać. — Dotąd pali się ono jak lampa dobrze urządzona i nic, oprócz plam ciemnych, nie zwiastuje, ażeby mu zabrakło palnego materiału.

Ale astronomowie mają passyą przepowiadać najsmutniejsze w świecie wypadki... Straszili nas długo kometami, teraz podejrzewają słońce o zgrzybiałość.

Szło wielce przy teraźniejszym zaćmieniu słonecznym o przypatrzeniu się wielkiej kuli, która w tym stanie mogła się zdradzić i wydać tajemnicę na brzegach ukazujących się jakby narości (Protuberances). Jednakże zdaje się że nic tak bardzo nowego i ważnego nie odkryto w czasie zaćmienia, któremu wszędzie prawie towarzyszyły chmury i niepogoda... Nawet tam gdzie się niebo rzadko i wyjątkowo tylko osłania.

Zostaliśmy więc w dawniej niepewności co do słońca i wiemy tylko, dzięki spektroskopowi, z czego się składają wyziewy i ciało słoneczne... Wchodzą do nich znane nam kruszce, ale także i dotąd nieznajome, a może tylko słońcu właściwe...

Mało kto zapewne z naszych najłaskawszych czytelników wie o tém wielce dowcipnym narzędziu zwanem spektroskopem, przez które widmo słoneczne widziane rozkłada się na kolorowe i ciemne linie. Z tych linii rozmaicie ponkładanych, różnej

grubości i położenia, nierównej liczby, poznaje się skład ciała, które wydaje światło. Tak na przykład inaczej przez spektroskop przedstawia się palący nikel, żelazo, inaczej kalium lub magnezium. Więc choćby nas tysiące i miliony mil oddzielały od ciała świecącego, możemy się w ten sposób dowiedzieć, co się tam w nim pali.

Niektóre z tych hieroglifyów zostały już wyczytane, inne dotąd są zagadką... Tak samo i natura samego słońca, które jedni mają za twarde, drudzy za gazową kulę... a ciemne plamy na niem, uważają ci za odsłonięte wnętrze... drudzy za obłoki przeciągające po atmosferze słonecznej.

Z ostatnich spostrzeżeń zaćmienia o ile nam wiadomo, żadnych dotąd stanowczych wniosków nie osiągnięto... musimy czekać a uczeni mają się jeszcze czém bawić.



Pod tytułem, *Pamiętników Pana Kamertona*, wyszły trzy tomy ciekawych notatek o starój i nowój Litwie, zebranych (bezimiennie) przez Leona hr. Potockiego. — Autor ukrywszy się pod skromną postacią wędrownego stroiciela fortepianów, opisuje głównejsze i pamiętne, historyczne miej-

scowości, opowiada dzieje, powieści, podania, anegdoty, kreśli obrazki obyczajowe, słowem gromadzi co tylko mógł po drodze uzbierać. Jest tu wszystkiego po troszę: wiele historii, poezji trochę, wizerunków lepszych czasów na Litwie podostatkiem; jest i opowiadań zabawnych mnóstwo. — Czyta się to chciwie i z przyjemnością; mało kto tak dobrze znał obyczaj i życie wewnętrzne kraju jak Leon Potocki...

Doskonałe jest to kazanie X. Dominikana, na pogrzebie Brygidy z Radziwiłłów Sołohubowej, która oddaliwszy od siebie OO. Jezuitów, sumienie swe pod kierunek synów Ś. Dominika oddała... Wielkiej dobrodziejce zakonu należała też niepospolita mowa pogrzebowa... Oto jak się z tego wywiązał X. B. kapelan nieboszczki.

Naprzód, sparsłszy się na ambonie udawał jakby uśpionego długo, potem nagle przebudzony niby, zapatrzył się na katafalk i począł w ten dramatyczny sposób.

„Gdzież to ja jestem? — Co za widok? Czy to reduta? Nie. — Czy nie komedia to? — Nie. Czy nie bal w Pioromoncie? Nie. — Światła rzęsiszte! ozdoby wspaniałe! Cóż to wszystko znaczy? (Znowu wzrok natężony wlepił w katafalk, i wpatrzywszy się weń długo, krzyknął:) .

— Ach! wszak to Jaśnie Oświecona Brygida z książąt Radziwiłłów Sołłohubowa, wojewodzina brzeska, generał-lejtnantowa W. X. Litewskiego! Tak jest, to ona sama... Dokądże idziesz Brygisiu kochana! (Udaje głos cienki niewieści.)

— Do XX. Missyonarzy! — A po co? (Podobnym znowu głosem.) — Na wieczny spoczynek. O! dla Boga! nie tegom się po tobie spodziewał! Ej! nie idź!

— Pójdę! pójdę! — Noc ciemna, błoto po kółki, wróć się, powiadam. — Ej nie, pójdę! — Pójdziesz? a nie lepiej że byłoby zostać się z nami Dominikanami? Ej! Brygisiu! — Nie, nie! pójdę koniecznie. — Nie masz lekarstwa na babski upór, dobrodzieje kochani! Idźże tedy! wędruj szczęśliwie! a ja tymczasem cnoty twoje ogłoszę światu sarmackiemu.

Dalszy ciąg mowy pogrzebnej, w tymże rodzaju... prędzej było z niej można uśmieć się niż zapłakać. Szczególniej OO. Jezuitom, naturalnie się dostało...

Bardzo ciekawe są wspomnienia uniwersytetu z epoki Dr. Frank'a i hrabinę de Choiseul, królowej piękności swych czasów, której ulubiony Pawłów nazywano świątynią Wenery w Knidos. Róż hr. de Choiseul zażądała być przytomną aktowi

doktoryzacyi w uniwersytecie... Akt ten, odegrany jak wyborna komedya, odbył się w salonie Dra Franka. Kandydat czytał rozprawę o chorobach serca! — Opisał bardzo szczegółowo chorobę sercową jednego ze swych pacyentów... a nakoniec oświadczył, że po śmierci odkrył dopiero co go życia pozbawiło... To mówiąc odsłonił preparat i ukazał w sercu nieboszczyka — portret hrabinéj Choiseul!!

Obok poważnych dziejowych wspomnień, mnóstwo podobnych charakterystycznych drobnostek spisał Potocki. Nieoceniony to materyał do historii obyczajów.

Z okładki Pamiętników Kamertona, które dla Litwinów i chcących poznać Litwę są nieośzacowane, dowiadujemy się o innych dziełach L. Potockiego: powieści: *Dwaj bracia artyści*, — *Święcone czyli pałac Potockich w Warszawie* (pod imieniem Bonawentury z Kochanowa,) — *Wincenty Wilczek i pięciu jego symów*, — *Wspomnienie o Kownie* — *Zarysy życia towarzyskiego*. — Oprócz tego zostały w rękopiśmie, częściowo tylko drukowane niegdyś w Gazecie Polskiej pamiętniki zajmujące.

Potockiemu winniśmy wynalezienie szacownego (dotąd niewydanego) Pamiętnika Poczobuta, współczesnego Paskowi.



W Anglii i na stałym lądzie od lat kilku probują wprowadzić we zwyczaj jedzenie mięsa końskiego. W roku przeszłym sprawili sobie hippofagowie londyńscy sławną ucztę, na której nie było nic prócz różnych potraw z koniny... Rosbeef à la Bucephale... kotlety z pegaza i t. p. Próba ta nie zupełnie się szczęśliwie powiodła. Z powodu tych usiłowań prassa uczona niemiecka, która ma historję na zawołanie, daje ciekawą wiadomość o jadle z koni w starożytności. — Dziennik angielski: „*Journal of the Society of Arts*“ przytacza także kilka erudycyjnych cytata na poparcie powszechnego używania koniny. — Parę tysięcy lat temu Grecy hippofagami zwali barbarzyńskie narody... Herodot opisuje, że u Persów na dzień rocznicy urodzin zastawiano całe pieczone konie... Wiemy, że w Polsce przed hetmanem dla uczczenia go stawiono także pieczone źrebę. — U Chińczyków, Tatarów i wielu narodów azyatyckich konina uchodziła za przysmak. Virgili wspomina, że Scyci do mleka miewszali krew końską, Horacy, że Trakowie krew koni pić lubili.

Ś. Bonifacy apostoł Niemiec skarżył się przed stolicą rzymską, że Niemcy jedli mięso końskie. Toż samo około 1000. r. zarzucano Irlandczykom. We Włoszech i Anglii zwyczaj ten również się utrzymywał. Ale już w XVII. wieku we Francyi

są przykłady karania śmiercią za użycie mięsa końskiego. Około 1793—94 w Paryżu pokryjomu koninę dawano zamiast innego mięsa; a w 1811 dozwolono użycia jej, co w 1826 potwierdżoném zostało, jako lekarskiém doświadczeniem uznane za nieszkodliwe. — W czasie pochodów Napoleóna bardzo często wojsko się karmiło, szczególniej rosołem z koni.

Od r. 1855 w Paryżu rzeźnie końskie ustanowiono i mięso się to sprzedaje jak inne; najślawniejszy skład jego mają pp. Rollinet et Cie. W r. 1867 zjadł Paryż 2312 starych koni, bo stare są najsmaczniejsze; mięso młodych za twarde. Koń dorózkarski wymęczony ma przypominać zwierzynę. W Wiedniu i Berlinie konina także jest w użyciu; urzędownie dozwolono się nią karmić prawie we wszystkich państwach Europy, nawet w Rosyi. — W południowych Włoszech mięso się suszy na słońcu dla przechowania. — W Anglii, gdzie 125,000 koni rocznie się zabija, najpóźniej o używaniu ich na ten sposób pomyślano. Nie dziwiemy się temu, człowiek przywiązuje się do konia, a bądź co bądź zjeść przyjaciela (choć się to trafia często) nie wypada — przynajmniej na pieczyste.



Pogardzona i pod płotami tuląca się, okrzyczana z powodu swój opryskliwości pospolita pokrzywa (*Urtica dioica*) jest wszakże rośliną pożyteczną. Młodą używają u nas na zieleninę, starą karmią chlewnią. Ale oprócz tego ma ona zapomniane zalety, jako roślina włóknista, dająca się zużytkować na równi ze lnem. W Egypcie wyrabiano z niej nici i sznury; w Kamezacie do dziś dnia jęj tak używają; w Szwecyi i Danii jako zdrowy pokarm daje się bydłu. — Pokrzywa na dobrym gruncie rośnie bujnie, ale na złym wegetuje także, stosując się do okoliczności. — *Kubelka* w czasopiśmie gospodarskiem powiada, że cztery do pięciu razy odrasta, ścięta na paszę. — Uczciwie to stworzenie Boże jest najwcześniejszą karmią zieloną, gdyż o miesiąc wyprzedza Lucernę, a kiedy wszystko wyschnie w jesieni, zieleni się uparcie do mrozów. Wytrzymuje upały i zimna ze stoicyzmem istot sobie podobnych... Ususzone liście pokrzywy dają doskonałą paszę dla owiec i bydła, zdrową i pokarmistą; można je dawać suche lub zaparzone, po funcie do dwóch na sztukę. — *Kubelka* zaręcza, że mleko krów karmionych pokrzywą jest doskonałe i że wiele goryczy nie nabiera.

Z rozbioru chemicznego wypada, że pokrzywa prawie tak jest pożywna jak konieczyna.

Ale co to znaczy reputacya!! Któryżby gospodarz nie ruszył ramionami na tę rehabilitacyę nieszczęśliwej rośliny? — Nasi koniarze wiedzą o tém dobrze, iż nasienie pokrzywy, dawane koniom z owsem, ma je tuczyć i dawać piękny połysk włosom.

A pomimo to wszystko, wszelkie plugawstwo społeczne nazywamy pokrzywą, chociaż ona więcej od niego jest warta.

Jako roślina posiadająca włókno sposobne do wytworzenia przędzy, pokrzywa na szczególną uwagę zasługuje. — Gdy się łodygę pokrzywy zaraz po okwitnięciu zetnie, oczyści z liści, namoczy jak konopie, z paździerzy obije i zmięczy; da doskonały materiał na powrozy i grube ale mocne tkaniny. — Stosownie przygotowane przędziwo pokrzywiane może nawet posłużyć na płótno.

Pokrzywa, jeśli ją uprawiać kto zechce, sieje się w Październiku, nasienie mieszając z ziemią, nieco gęściej niż koniczyna. Po zasiewie nie potrzeba ani grabić ani ziemią przysypywać, gdyż pokrycie szkodzi wschodzeniu rośliny. Kubelka pisze, że w pierwszym roku ścinać jej nie należy, póki się dobrze nie wkorzeni; w następnych latach zbierana być może dwa razy, w Czerwcu i Lipcu. Pokrzywa daje 16 procentów, gdy konopie 25, ale

dochód zapewniony o tyle, o ile on pewnym być może przy wypadkach — ale raczej do kupca, który kapitałem i energią do ekonomicznej dorósłszy potęgi, wielu osób egzystencją ma w ręku.

„Mówiąc o pomyślnych skutkach angielskiego przemysłu, dodaje on, nie zawadziłoby... owe *emento mori* szepnąć po cichu, które towarzyszyło pochodom rzymskich tryumfatorów.“

Baxter lęka się dla Anglii współzawodnictwa Stanów Zjednoczonych, wojny, któraby targowiska europejskie zamknęła i dowóz surowych płodów wstrzymała; jednem słowem... owego ziarna piasku, które skomplikowaną maszynę może zahamować i w pędzie zgruchotać. —



Dużo się u nas pisze, choć nie wiele robi około oświaty ludowej. Spóźniona ta kuracya odbywać się musi z wielką ostrożnością, aby organizmowi chroniczną nieświadomością zdrętwionego nie narazić na szwank. — *Gazeta Toruńska* w roku zeszłym umieściła cały szereg artykułów w tym przedmiocie; całe Księstwo Poznańskie składało się przez kilka miesięcy na kilka set talarów na ten cel przeznaczonych, w Galicyi wszystkie stowarzyszenia... które

chciałyby uchodzić za stojące na wysokościach wymagań epoki, mówią wiele, obficie i wymownie o oświacie. Ale oprócz ubogich kilku akademików we Lwowie i księgarza rodem z Warszawy w Krakowie, nikt nic nie zrobił. — Mylemy się; Forster mieszkający w Berlinie wydał kilka-naście broszur.

Wszystkiego tego mało, wszystko to niedostateczne... ale dowodzi po raz setny, że my jesteśmy w tém stadium paplaniny, w którym czasem bywają starzy ludzie. Siedzi jegomość w pokoju i cały dzień gderze, usta mu się nie zamykają, ale sam się nie rusza.

Czy oświata ludowa ma być biała czy czerwona, czy przez księży i z pomocą księży, czy dłonią świecką udzielana, w języku ludowym czy salonowym? czy ją począć od tego, czy od tamtego końca? Jak drukować? na bibułę czy na welinie? na perkalu czy na papierze? nawet zdaje się, że okładki przyszłych publikacyi pódane są wielce umiejętnym roztrząsaniom... Starzy Polacy mówili w takim razie... gadu, gadu... a psy w krupach... My już tylko gadać i stękać umiemy...

Niech Bóg uchowa od złych posądzeń, ale nikt tak bardzo na sercu nie ma sprawy oświaty, każdy przy tém światełku radby upiec pieczeń swoją, pie-

czeń popularności, rehabilitacyi, pieczęć swojej doktryny, pieczęć swojego talentu, a najbiedniejsi pieczęć swojej kieszeni...

Nauczcie Maćka czytać... nie frasujcie się tak bardzo o resztę, książki się znajdują... byle ochotę miał do nich zaglądać.

Głosujemy za wydaniem miliona egzemplarzy abecadlnika Towarzystwa Rolniczego Warszawskiego, za rozpowszechnieniem go jak największém.

Byłby to krok ważny, stanowczy i pewnie w skutki dobre najobfitszy.



Wiedziecie o tém, że Teofil Lenartowicz, żyjący na wygnaniu we Włoszech we Florencyi (mazowiecki on lirnik pod dzwonnica Giotta!!) musiał gwoli sercu i gwoli potrzebie pracy, jąć się dłuta rzeźbiarskiego. Nie mogąc śpiewać... rzeźbi... i toć przecie śpiew!.. rozumiały wszystkim. — Patrząc ciągle na owe *bramy raju*, ręką Giobertego wyrzeźbane, natchnął się niemi...

Lud jego pieśni nie słucha... ale są ludzie co na rzeźbiony poemat patrzą i rozumieją go...

Co go do téj zmiany języka przywiodło, po-

wiem, a powiem otwarcie, jak się należy, gdy o gardłową idzie sprawę.

Jedyny wydawca polski, który ma odwagę rachować na publikę, nie przypuszczając, aby polski ogół mógł odmienić uczucia i nie rozumieć swych obowiązków — Żupański, wydał w przeciągu lat ostatnich Bohdana, onego słowika ukraińskiego *Oratorium*, W. Pola *Powódź*; nabył też i nowe, pełne wdzięku śpiewy Lenartowicza. Ale po próbie na Zaleskim i Polu, musiał się zawahać i poezye Lanartowicza nabyte, gotowe leżą a spoczywają w tece. — Nikt dziś poezyi nie czyta...

Smutna, ale najprawdziwsza prawda.

Smak do tego języka bogów straciliśmy, poczucie piękna, miłość pieśni. Zagospodarowaliśmy się, zakłopotali, sprozaizowali, odpoetyzowali, zreczywistnieli tak, ale to tak... że pieśni, ani rozumiemy, ani pragniemy, ani czujemy.

Gdy kto na uszy ogłuchnie, trzeba mu mówić przez oczy. Próbuje tego języka głuchoniemych Lenartowicz i rzeźbi...

Ale zaprawdę, smutneż to, smutne, nie dla niego, bo z niego poezya w nim zawarta, na ten czy inny sposób wypłynie — smutne dla nas, bo to oznacza, że temperatura duchowa w nas zniżyła się. Nie grzeszym w ogóle zbytnią miłością czytania

i pracy, ale pieśnią, można powiedzieć, że się brzydziemy.

Czy myśmy temu winni, czy ogólna atmosfera epoki, która w rzeczywistości uścisku zbawienia szuka? nie wiem. Ależ bez poezji żyć, bez poezji być młodym! bez śpiewu i ideału budzić się do życia, to coś rozpaczliwego!! Cóż ci ludzie prozy poczną na starość?

Odlany z bronzu Lenartowicza obraz — powrót do ziemi obiecanej, nabył w Paryżu hr. Ksawery Branicki; podwójnie mu winszujemy tego nabytku.

Nie możemy się powstrzymać, żeby tu nie cytować smętnego wiersza Lenartowicza, który on napisał na odwrocie swój rzeźby (Święci pracownicy) przysyłając ją jednemu ze swych przyjaciół:

..... drogi, na serca pociechę
 Gdy mi nie możesz w Polsce dać chateńki,
 Weź piórko swoje i machnij od ręki
 Taką litewską pochyloną strzechę...
 I kawał boru suchego na opał
 I kościół, kędy patrzeć sercu błogo,
 Ach! i przy którym, gdy doła tak srogą,
 Już bym się pragnął do ziemi zakopał.
 To mi narysuj do mego albumu
 I swe kochane imie nmicść niżej.
 Do naszych sosen, tak mi tęskno szumu
 Do naszych mogił i do naszych krzyży.

A jeśli prawdę mam już wydać całą,
 Do dziecka, coby rękę mi podało,
 Do starca, coby uśmiechnął się ku mnie.
 Tak żyjąc oto ściśnięty jak w trumnie,
 A nie do chwały, Bóg świadkiem; nie do téj,
 Która w młodości głowy nam zawraca...
 Do Twego serca, o druhu nasz złoty...
 Co niesiesz sztandar: wytrwałość i praca!!..



Był czas, gdy garstka ludzi niewielka, siłą i umysłu i ducha swego przodowała cywilizacyi świata, a zwała się ona garść ludzi Helladą — był czas, gdy jedno miasto — *urbs, per excellentiam*, potęgą woli i energii panowało światu całemu, a miasto to zwało się tajemniczym wyrazem *Roma*... Dziś przyszliśmy do tego, że siłę narodów i plemion obrachowujemy na liczbę pięści.

Scherzer w Jeograficznym roczniku 1848. przeciwstawi sobie plemiona główne zamieszkujące Europę i oblicza ich siły — trzema ich znamionami: flotą, kolejami żelaznymi i telegrafami. Są to raczej dowody pracy i działalności, niż sił, bo siły mogą istnieć ukryte w łonie tych plemion, które do zupełnej samoistości i władania jeszcze nie przyszły. Jakkolwiek bądź, to zestawienie produkcji

wano go na scenie z niecierpliwością, odegrano ze staraniem, i — o ile z krytyk lwowskich można o tém sądzić (gdyż do tego rodzaju wyrobów mieszają się różne ingrediencye) *Żyd* uznany był słabym na scenie — nie odpowiedział nadziejom jakie obudzał... Powiedzmy nawiasem że niepowodzenie sztuki na scenie lwowskiej, w obec publiki tantéjszój, nic jeszcze nie powiada. — Całkiem inne by to miało znaczenie w Warszawie.

Ale że fakt nie jest bezprzykładnym i że się toż samo trafia gdzieindziej, świadczy *Szach królowi* ukoronowana komedia komisarza policyi Schauffart'a, którą mimo jej powodzenia na scenie nader surowo sądzi Henryk Laube w liście do jednego z niemieckich dzienników pisanym:

„Repertuar komedyi zyskuje na tém zero, pisze Laube, zwłaszcza że do odegrania sztuki potrzeba ze dwudziestu artystów.

Oprócz najwyżej postawionój komedyi téj inne konkursowe dzieła grają teraz właśnie w teatrze wiedeńskim.

Publiczność będzie sędzią najlepszym, której z nich należało dać pierwszeństwo.

Na teatrach naszych nowych, a nadewszystko świetném powodzeniem odznaczających się drama-

tów, nie znajdujemy. Tłumaczenia królują i małe komedyjki.



W numerze ostatnim „Dzwonu“ Hercena, który wychodzić przestanie sam czując że mu przyszła godzina umierać, pod tytułem: *Cogitata et visa* wspomina autor o pierwszém spotkaniu z Adamem Mickiewiczem. Ze wszech względów ustęp to zajmujący.

„Po powrocie moim do Paryża, w końcu 1848 roku, możliwość wspólnej pracy, która mnie przybliżyć mogła do ludzi zajmujących swą indywidualnością, nagle mi się przedstawiła. Hr. Branicki ofiarował znaczną sumnę na założenie dziennika zajmować się mającego polityką zewnętrzną, a głównie kwestyą polską. Użyteczność i potrzeba takiego dziennika były oczywiste... Gdy wszystko już zostało przygotowane, lokal najęty i urządzony, ogromne stoły suknem okryte poustawiane z pulpitanami ukośnemi, gdy chudy literat francuzki najęty został dla doglądania i extyrpowania omyłek ortografii międzynarodowej, gdy rada złożona z dawnych posłów i senatorów polskich umieszczona została na czele redakcyi, a Mickiewicz na czele téj

mion, przyznajemy z ochotą ich bydlęce barbarzyństwo dzisiejsze, ale trudno nam wyrzec, że nigdy się ucywilizować nie potrafią. Człowiek po staremu jest dla nas istotą jedną, różnie zapewne rozwiniętą, ale równie do rozwinięcia zdolną. Na niektórych plemion gałęziach, jak na Moskalach wieki niewoli, zimna, pijaństwa, demoralizacyi, warunków bytu niepomysłnych wyrobiły upadek... Nie przypuszczamy wszakże, aby to, co w nich jest ludzko-Bożego — jeśli się tak wolno wyrazić — nie mogło się podźwignąć.

Nowa teoria wszakże powiada, że prababką człowieka była małpa, a więc dziś pradziadkiem człowieka Moskal być może.



Jak są towary, któremi handel jest wielce rozpowszechniony, tak są wyrazy brzmiące, dobitne, głośne, wielkiego znaczenia, któremi frymark się odbywa wszędzie z dobrym skutkiem.

Naprzykład wyrazu — ojczyzna! — jak nadużyto lekkomyślnie i często niepoczciwie, a zawsze niemal świętokradzko. Ojczyzna winna wszystkiemu, ojczyzna jest celem niby wszelkich czynności, dla ojczyzny się cierpi, śpi, je, błednieje, tyje,

a najwięcej hałasuje i kręci. W imie tej świętej matki wymagać się godzi wszystkiego, co komu potrzebne...

Był czas — naówczas małemi jeszcze byliśmy dziećmi, gdy nam zakazywano powtarzać — *Jak mamę kocham*. Gdyby też kto teraz zabronił starym nieustannie się zaklinać na tę miłość ojczyzny, która, gdy prawdziwą jest, cichą bywa, skromną i nigdy o sobie nie mówi.

Gdy kto powtarza, że cierpiał dla ojczyzny, nie wierzcie mu — bałamuci... Ten cò dla niej boleje, boleść swą kryje jak skarb w duszy; gdy mówi, że ją kocha... lekceważy... Jak imienia Bożego, tak imienia ojczyzny lekkomyślnie wyrzec się nie godzi...



Ponieważ tak gawędzimy o różnych rzeczach, a nikt nam nie broni zacząć o jakąś wiadomość mniej rozpowszechnioną, szczególnie naukową — czemużbyśmy nie nieli spróbować zająć nowemi przykład wynalazkami.

Wiek nasz jest bardzo mądry — gdyby równie był dobry i poczciwy, nicby do życzenia nie pozostawało.

Otóż w mądrości swojej wiek ten wynalazł straszną ową *nitroglicerynę*, mieszaninę eksplodującą niesłychanej siły.

Ale obejście się z nitrogliceryną, przewożenie jej, ogrzanie niezmiernie groźnem jest, gdy synek młodziuchny tej nitrogliceryny, który na chrzcie otrzymał nazwisko *Dynamitu*, posiada wszystkie przymioty matki, a żadnej z jej wad. Posłuszny robi co mu każą, a wybryków sobie żadnych nie pozwala.

Dynamit (*Mech. Magaz. Engin.*) jest to najdelikatniejszy piasek przepojony, nasycony nitrogliceryną. Nobel robił z nim mnogie doświadczenia zdumiewające, które dowodzą, że od uderzenia wcale nie eksploduje, że ogrzany pali się spokojnie a zarazem lekko gliną pokryty, zapalony z pomocą piorunującego żywego srebra, posiada siłę dziesięć razy większą, niż zwykły proch działowy. -- W takim razie rozsadza bryły kamieni, walce stalowe i dokazuje cudów.

Dynamit działa tak samo zanurzony w wodzie. Obiecuje on stać się nową siłą potężną, w wielu razach mogących proch zastąpić, jak skoro cena jego się zmniejszy. Dziś jeszcze funt dynamitu kosztuje cztery razy więcej niż funt prochu; — ale wkrótce będzie tańszym...



Wiek XIX. jest wiekiem powieści, we wszystkich literaturach, w każdym dzienniku powieść gra rolę przeważną, ale dobrych powieści mniej może niż kiedykolwiek. Dobrą powieść, która się łatwo czyta, zdaje się powinienby każdy móżdż napisać, mało kto nie próbował, ale nie wiele się to komu udaje.

Najlepsi powieściopisarze zużywają się, nabierają maniery, lub szukając oryginalności, wpadają w dziwactwa.

W ogóle francuska powieść jest jaskrawą, fantazyjną, rzadko na obserwacyi świata i ludzi opartą; angielska drobnostkowo maluje życie i charaktery, ale ma wiele prawdy, niemiecka kusi się o połączenie rzeczywistości z ideałem. Tyle jest rodzajów powieści ile pisarzy. Z nowego pokolenia we Francyi nikt nie zastąpił dotąd V. Hugo, p. Sand, Balzaca, Dumas'a, z nawet Sue... Niemcy mają znakomitych powieściopisarzy w Auerbachu, Gutzkowie, Freytagu, Heysem i Hackländerze; — Anglia ma swego Dickensa a żałuje Thackereya. Wszystkiego tego jednak na ogromną konsumpcyą codzienną nie starczy, a ludziom co smaku w gębie nie mają, dobry i Ponson du Terrail.

Tłumaczeń téż chodzi po świecie mnóstwo: — przeszło do tego, że Francuzi z angielskiego prze-

kładają niemieckie platt-deutschem pisane obrazki Fritza Reutera; tłumaczą Turgenjewa i Gogola, niekiedy nawet sięgają i po rzeczy polskie. Ale owe polskie mają tę wadę, że tłumaczenie ich nie idzie do Rosyi, — zatem nie łatwo znajdują wydawców...

Niemieckich nowości w tym rodzaju trudno zliczyć. Do najświeższych należą *novelle* sławnéj Fanny Lewald pod tytułem: *Villa Riunione*. Przez lat kilka znakomita autorka mieszkała we Włoszech i Szwajcaryi, pobyt ten oddziałał na nią korzystnie, daje się on czuć w nowych opowiadaniach, których dwa tomy zawierają cztery: *Księżnę Aurorę* — *Smutną historią* — *Okręt z Kuby* — i *Domenico*. — Krytyka niemiecka znajduje postęp w tém iż opowiadania mniej wyraźne są tendencyjne, nie tak filozofią i socyalizmem zaprawne.

W *Księżnie Aurorze* małuje autorka bardzo wdzięcznie dawną rezydencją niemieckiego państewka, stolicę z jéj życiem sztywném i metodyczném. — Dziś właśnie te stoliczki przerabiają się nowemi politycznemi stosunkami na ogniska cichéj pracy. Druga powiastka (*Smutna historia*) jest obrazem życia wiejskiego w Niemczech; głęboko uczutego i z wielką prawdą odmalowanego. — Mniej szczęśliwa jest *novella* — *Okręt z Kuby*, pełna nowych

szczegółów, ale pospolitsza i niezbyt misternie obmyślana. *Domcnico* jest powiastką rzymską, której sama miejscowość dobrze ucbwycona, dodaje zajęcia...

Wspominamy o tych novellach, bo wołamy tłumaczenia z niemieckiego dla literatury naszej, niż powszednie powiastki francuskie.

Znany już ze swych wieśniaczych powieści i dramatów *Björnstjerne Björnson*, Norwegczyk, wydał powieść „*Rybaka córka*“ (*Das Fischermädchen*) po niemiecku oryginalnie.

Jest to pewnie pierwsza próba; wprzód bowiem pisał po duńsku.

Zadaniem tego obrazka jest dziewczę, w którym objawia się powołanie do sztuki dramatycznej. Uznanie w sobie powołania, siła jego, przygotowanie się do wystąpienia, stanowi przedmiot powieści, która się nieco za efektownie kończy — „W tém podniosła się zasłona.“

Björnson wykończy starannie, może do zbytku troskliwie każdą wprowadzoną postać; jest nieco pretensjonalny, czuć w nim wymuszenie aż do pewnej afektacji dochodzące — ale powieść ma poetyczny wdzięk i stworzona ze znakomitym talentem. Niemiecka krytyka zarzuca jęj nieco danizmów w języku, ale ją przyjmuje przychylnie.

We Francyi nowy romans V. Hugo (*Par ordre du Roi*), z którego korekty urywki się zjawiają po dziennikach — wzbudza naturalnie zajęcie.

W naszej polskiej literaturze powieściowej, najciekawszą w tej chwili będzie Bodzantowicza: — „*Rodzina Konfederatów*“ rozpoczęta w dzienniku literackim lwowskim. — Autor znany ze swych opowiadań w Soplicowskim rodzaju, z przedziwnym talentem maluje XVIII. wiek z tradycyi narodowych. Rodziną konfederatów są Pułascy.



Krzyczano na nas, krzyczano za zbyt surowe o Galicyi sądy, ale po cichu ten i ów, bijąc się w piersi powiadał nam: miałeś słuszność. Jeśli co to nieoszacowany *Chochlik* stwierdza w zupełności nasze postrzeżenia i życzliwe uwagi, ostrzejszemi nierównie pociskami wymierzonemi do kraju, którego on jak my pragnie podźwignięcia się, reformy i jak my życzy mu wszelkiego dobra. Ale i on nie szczędzi surowych w bardzo dowcipnej formie wyrznięć... Kalendarz humorystyczny Chochlika uderza na wszystkie wady, śmieszności i nałogi nie-szczęśliwej Galicyi. Z kolei odzywa się do wszyst-

kich niemal klas społeczeństwa i wyśmiewa trafnie słabostki, któreby chciały za cnoty uchodzić.

Kalendarz tegoroczny równie jest dowcipny i charakterystyczny jak przeszłe; formę mu tylko nadało inną połączenie z Haliczanie. Począyna się wyborném pożegnaniem 1868 r.:

A dieu, mój drogi, a polkoń się
 Waść tam „kancelerstu“ odemnie.
 „Nadziejom naszym“ też możesz rzec,
 Że je wspominam przyjemnie...

Mów im, że próżno dotychczas nam
 Ślinka wciąż idzie do gęby.
 „Stan obłączenia“, gdybyś tam zszedł,
 To daj mu kułakiem w zęby...

W kalendarzu chronologicznym zapisano: Od czasu, jak Chrystus pan okruchami pięciu chlebów nakarmił pięć tysięcy ludu, lat 1871. — Od czasu, jak *Dziennik lwowski* otrębami pięciu półgłówków karmi pięciu abonentów, lat 3.

Każdy miesiąc wyłącznie jest poświęcony pewnemu kółku, klasie lub powołaniu; Styczeń konsorcyonistom, Luty kołtunom, Marzec ultramontanom, Kwiecień mamelukom, Maj dziennikarzom, Czerwiec dzientlemanom, Lipiec tromtadram, Sierpień biurokratom, Wrzesień artystom, Październik płci pięknej, Listopad Mandarynom, Grudzień kar-

jerowiczom. — Oprócz tego dosyć jeszcze jest dodatków ugryźliwych, zabawnych a diabelnie czasem dowcipnych. Nie chcielibyśmy okradać Chochlika, ale ażeby dać przedsmak jego kuchni, musimy nieco wziąć z wyśmienitych przepisów jego „nowej kucharki politycznej i społecznej *Boeuf à la mode na zimno*. „Weź spory kawałek chudego, próżnością naszpikowanego i różnemi zagranicznymi przyprawami przyprawionego mięsa wołowego, a oczyściwszy je z wszelkiej narodowej cnoty, polej je cynizmem i perfumami; dodaj parę nóg, nieco mózdzgu cielecego i wiele długów, a przykrywszy mięso cylindrem, duś zwolna w kasynie, albo wstaw za kulisy, aby przez jakiś czas próżnowało i przeżywszy się, pozbyło się zdrowia, wstydu, resztek odziedziczonych majątku i wszelkich niepotrzebnych zasad moralności. Potém wyjmuje się mięso i zastudza w egoizmie, a tak przygotowane ubiera się we frak i glansowane buciki i podaje żonie, dzieciom, krajowi, społeczeństwu „na zimno.“

Równie doskonały jest przepis *Matrony polskiej w francuzkiem cieście*.

Zalecamy potrzebującym zdrowego rozweselenia nieoszacowany kalendarz Chochlika, który oprócz zdrowego dowcipu zawiera skromnie wszystko to,

co pospolite kalendarze pocziwe i spokojne zawierać zwykły; nawet jarmarki i pocztowe informacje.



We Lwowie z nowych pism ukazały się dwa: *Mrówka*, dziennik beletrystyczny i ilustrowany, i *Iris*, ogrodniczo-artystyczny. O obu trudno jeszcze sądzić z pierwszych numerów. *Mrówka* obiecuje się wyrobić. *Iris* zajmuje się teatrem, wojuje z nieprzyjaciółmi dyrekcji i odcina się krytykom jej zamaszysto... Z ostatniego numeru dowiadujemy się, że na scenie lwowskiój grano Laubego „*Złe języki*.”

W Poznaniu od N. Roku zjawiała się *Sobotka*, arkusz ilustrowany na tydzień, pismo tanie i samą swą treścią przystępną przeznaczone na jak-największe rozpowszechnienie.

Życzemy mu go szczerze, bo miejsc opróżnionych po nieboszczykach wyliczonych w Sobótce... bardzo wiele...

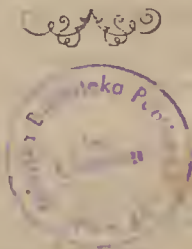
Począwszy od *Mrówki* (1821—1822), Weterana, Orędownika, Tygodnika, Roku, Przyjaciela Ludu... ileż to mogił i ile niezapełnionych próżni!

O ile miarkować można *Sobotka* najprędzej za-

stąpi *Przyjaciela Ludu*, którego *mutatis mutandis* przypomina.

Oprócz tego obiecuje się *Przegląd Wielkopolski* p. E. Kierskiego.

Ale uderzmy się w piersi, dziś, nawet w Poznaniu, zobojętnienie dla książek i czytania mocno czuć się daje. — Porównywając rok 1840. do 1869. — smutno przyznać... jeśli nie ma upadku, jest przynajmniej długi i za długi spoczynek. — Możebyśmy nawet bliżej się wpatrując dostrzegli na fizyognomii społeczeństwa zmianę pewną... skutkiem będącą usposobień zmienionych... Obowiązkiem jest tych, co myślą. pracują i obrachowują przyszłość, ze snu tego obudzić... My spać nie mamy czasu...



Biblioteka Raczyńskich

JK 1274



JK1274